

2016 – ROK JASONA BOURNE'A.
POWRACA W NOWEJ KSIĄŻCE I NOWYM FILMIE.



ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT
LUDLUM

ODWET BOURNE'A

Prolog

Las Peñas, Michoacán, Meksyk

Ekskluzywny ośrodek wypoczynkowy La Concha d'Oro istniał od jedenastu lat, ale nigdy dotąd nie widziano tam tak zastrzonych środków bezpieczeństwa. Granice lądowe kurortu patrolowali czujni, uzbrojeni po zęby *federales*, półkolistej linii nabrzeża – motorówka, a za dwoma VIP-ami, dla których ośrodek opróżniono z gości, sprawdzono i zabezpieczono, jak rój pszczół podążali ochroniarze z jednym jedynym zadaniem pilnowania powierzonych im w opiekę kwiatów.

À propos kwiatów. Były dwa, dwóch mężczyzn, Carlos Danda Carlos, nowo wybrany szef meksykańskiej agencji antynarkotykowej, i Eden Mazar, mosadowski specjalista od antyterroryzmu. Meksyk potrzebował wszelkiej możliwej pomocy w walce z zakorzenionym strachem i korupcją, dzięki którym trzy najpotężniejsze kartele trzymały kraj w żelaznym uścisku, i właśnie dlatego – jak trzy dni wcześniej dyrektor Mosadu wyjaśnił Jasonowi Bourne'owi – Carlos Danda Carlos zwrócił się do nich z prośbą o wsparcie.

Wykształcony w Stanach Zjednoczonych, nieustraszony reformator, niezłomny generał pragnący uwolnić kraj spod narkotykowego jarzma, według dyrektora należał do nowego rodzaju Meksykanów.

– Ci z Los Zetas – powiedział szef Mosadu – są najbardziej niebezpieczni głównie dlatego, że stworzyli kartel z elitarniej

kadry żołnierzy, którzy zdezerterowali z meksykańskich sił specjalnych. – Położył Bourne’owi rękę na ramieniu. – Ale przy takiej ochronie to dla pana kaszka z mleczkiem. Niech pan po prostu pilnuje Mazara, a w czasie wolnym poopala się trochę i odpocznie.

– Nie pracuję dla pana. Nie pracuję dla nikogo, nigdy – odparł Bourne dość obcesowo, zważywszy na to, jak dyrektor traktował go, odkąd Jason przyjechał do Izraela po śmierci Maceo Encarnacióna.

W uśmiechu dyrektora pojawił się cień smutku i żalu.

– Rebeka była dla mnie jak córka. Od pogrzebu minął miesiąc, a pan wciąż nie wyjeżdża. To do pana niepodobne.

– Bo nie jestem już sobą – odparł Bourne. – Coś się we mnie zmieniło. Nic już mnie nie interesuje.

Dyrektor przyjrzał mu się uważniej. Drobny mężczyzna z rozwichrzoną czupryną siwych włosów należał do tych, u których każda zmarszczka zdaje się symbolem kolejnej śmierci i rozczarowania. Ogromną pulę zwycięstw starannie ukrywał.

– Pomyślałem, że ta wycieczka pomoże panu zapomnieć...

– Nic nie pomoże mi o niej zapomnieć – przerwał mu szorstko Jason.

Dyrektor kiwnął głową.

– Jest za wcześnie. Dobrze to rozumiem. – Rozejrzał się po nabrzeżu. – Cóż, może pan zostać dłużej, choćby kolejny miesiąc, ile pan chce.

Bourne zmarszczył brwi, szukając w tych słowach ironii, lecz jej nie znalazł. Dyrektor najwyraźniej nie drwił.

Lecz po chwili Jason zawahał się, rozważając swoje ograniczone możliwości.

– Chociaż – dodał – może ma pan rację. Może kolejne zadanie jest tym, czego potrzebuję.

I tak poznał Edena Mazara. Poleciał z nim tym samym prywatnym samolotem dostarczonym im wraz z grupą ochroniarzy przez Mosad, i wysiadł na tym samym małym prywatnym lotnisku zarezerwowanym wyłącznie dla gości La Concha d’Oro, które meksykańscy *federales* zamknęli i

obstawili czterdzieści osiem godzin przed ich przybyciem.

A teraz stał niecałe dwa metry od tych dwóch egzotycznych kwiatów i ich ochroniarzy, lustrując wzrokiem okolicę i wypatrując kłopotów, których nie mogło tu po prostu być. Sęk w tym, że znowu znalazł się w Meksyku i chociaż był daleko od Mexico City, gdzie zabito Rebekę, jego umysł wciąż wypełniały zapachy i obrazy jej śmierci na tylnym siedzeniu taksówki pędzącej apokaliptycznymi ulicami.

Być może dyrektor nie spodziewał się, że tak szybki powrót Jasona do kraju, gdzie zginęła, będzie miał na niego jakiś wpływ, lecz równie dobrze mógł zasugerować ten wyjazd celowo. Gdy spadniesz z konia, od razu na niego wsiądź, to najlepsze lekarstwo.

Możliwe, lecz nie tym razem.

Chociaż Bourne nie do końca zdawał sobie z tego sprawę, Rebecka przebiła jego zbroję i ugodziła go w samo serce. Jej śmierć bolała jak rana, która nie chce się zagoić. Znałem wiele takich kobiet jak ona, myślał. Ale zaraz potem przychodziła następna myśl: Nieprawda, bo takiej nie znałem.

Nie nawykł do tego rodzaju rozważań, ponieważ liczne próby ogniowe zahartowały jego psychikę do tego stopnia, że był pewny, iż nic nie jest w stanie go na długo zmienić, może nawet nie zmieni go nigdy. Jednak śmierć Rebecki, w połączeniu ze śmiercią wszystkich tych, którzy próbowali się do niego zbliżyć, była stratą, która go dusiła, grzebała żywcem w ziemi. W sumie nic dziwnego. Był chodzącym trupem, odkąd wyłowiony przez rybaków z mrocznych wód Morza Śródziemnego otworzył oczy i na widok obcego otoczenia uświadomił sobie, że stracił pamięć, przeszłość i życie.

Eden Mazar, schodzący właśnie z barwnie pomalowanego drewnianego występu ośmiokątnej altany z widokiem na Pacyfik, przypomniał mu, że po raz kolejny znalazł się na obcej ziemi. Lecz tym razem czuł się zagubiony jak kapitan, który nie umie nawigować według mapy ani według gwiazd.

– To żałosne – zadudnił półgłosem Eden. – Albo brakuje im silnej woli, albo są zbyt skorumpowani, żeby wystąpić

przeciwko kartelom w zorganizowany sposób. Tak czy inaczej, nic tu po mnie. Rząd stracił władzę. Oddał ją kartelom. Po kolacji wyjeżdżamy.

Bourne skinął głową.

Eden odwrócił się, zawahał i podszedł do niego z drwiącym uśmiechem.

– Nudzi się pan?

– Dlaczego tak pan uważa?

– Widzę pańską twarz. Widziałem pańskie akta.

Jason drgnął. Trochę go to zaniepokoiło, lecz nie zaskoczyło. A więc Mosad założył mu teczkę. Zastanawiał się tylko, jak szczegółową.

– Nie ma pan tu nic do roboty – ciągnął Eden. – To nie pańska branża, prawda? Jest pan ekspertem od infiltracji i likwidacji. Dlatego dyrektor tak pana lubi.

– Nie wiedziałem, że tyle się o mnie u was mówi.

Eden uśmiechnął się łagodnie.

– Był pan bliski Rebecce. Jak nikt inny przedtem.

Nagle Bourne wszystko zrozumiał.

– I teraz tylko ja go z nią łączę. Jestem jego jedynym żyjącym ogniwiem.

– Była wyjątkową kobietą i znakomitą agentką. Brakuje nam jej, nikt jej nie zastąpi. Śmierć Rebeki była dla nas strasznym ciosem. I wymaga odwetu.

– Jak to w Mosadzie, prawda?

Mazar nie odpowiedział.

– Muszę wracać do Carlosa. To porządny człowiek, ale jeśli chodzi o wprowadzanie zmian, o zorganizowanie skoordynowanej akcji przeciwko kartelom, ma związane ręce. Jak mówiłem: żałosna sprawa.

Jason zmarszczył brwi.

– Właściwie po co pan tu przyjechał? Dlaczego Mosad interesuje się meksykańskimi kartelami?

– Nie spytał pan o to dyrektora?

Bourne uświadomił sobie, że popełnił błąd. Powinien był spytać. Pewnie go zaćmiło.

– Ale odpowiedź jest chyba oczywista – dodał z uśmiechem Eden. – Prawda, Jason?

Ruszył z powrotem do cienistej altany, gdzie cierpliwie czekał Carlos wraz z grupą doborowych ochroniarzy. Bourne odprowadził go wzrokiem. Od morza powiał chłodny wiatr, który potargał mu włosy i przyprawił o gęsią skórkę. Co Eden chciał przez to powiedzieć? Czyżby Mosad wiedział o odkrytych przez niego związkach między Encarnaciónem, meksykańskimi kartelami i chińskim rządem? Czyżby Rebeka pracowała nad tym, zanim się poznali? Postanowił, że wyciągnie to z Mazara jak nie jednym sposobem, to drugim.

Słyszając monotonne buczenie, podniósł wzrok i wysoko na niebie zobaczył mały samolot. Zmrużył oczy i dostrzegł pływak. Hydroplan. Osłoniwszy twarz ręką, zauważył, że załoga łodzi patrolowej też dostrzegła nadlatującą maszynę. Na pokładzie zapanował ruch, błysnęły lufy karabinów.

Stojący w altanie ochroniarze Edena tego nie widzieli. Jason wszedł na schody, żeby ich ostrzec, gdy wtem ludzie Carlosa Dandy Carlosa wyjęli maczety i ścięli im głowy.

Zbryzgany krwią Eden zaczął odwracać się w chwili, gdy Bourne do niego dotarł, lecz Carlos wymierzył w Jasona z magnum i ostrzegawczo pokręcił głową. I wtedy jeden z goryli ciał Edena w szyję tak mocno, że odcięta głowa poszybowała łukiem w górę i łagodnym zboczem stoczyła się na plażę, gdzie musnęły ją delikatnie turkusowe fale omywające ciepły piasek.

Bourne zaryzykował i rzucił się na ochroniarza z maczetą. Wyrwał mu ją z ręki i dźgnął go w mostek, przebijając skórę i ciało, miażdżąc kości.

Nagle rozległ się ogłuszający huk i niemal w tym samym momencie potężne uderzenie kuli, która przeszła mięsień lewej ręki, pchnęło go do tyłu.

Jason głucho stęknął, przeleciał przez drewnianą barierkę i stoczył się na plażę.

• • •

Wiele godzin później, gdy wreszcie doszedł do siebie,

słońce chyliło się już ku zachodowi, barwiąc niebo, morze i piasek na kolor krwi. Leżał obok głowy Edena, która podskakiwała na wodzie jak dziecięca zabawka, czarna od krwi, porzucona.

Widział jak przez mgłę, więc odwrócił się i zamrugał. Nikogo. Ośrodek wypoczynkowy opustoszał.

Kołysząca się łagodnie głowa trącała go lekko, obracając się powoli i nieubłaganie niczym Ziemia, na której z każdym obrotem noc ustępuje miejsca dniu. Oczy Edena, już zmatowiałe, patrzyły na niego oskarżycielsko. Jason otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz zalała go fala gwałtownego bólu i znowu zapadł w litościwy niebyt.

Rozdział 1

Zgodnie z tradycją dyrektora Mosadu nazywano w firmie Memune, „pierwszym pośród równych”. Nie Elim Jadinem, tylko Memune. „Mam nazwisko”, nalegał dyrektor na pierwszym spotkaniu z nowymi rekrutami. „Używajcie go”.

Jadin był zazwyczaj optymistą – w tej pracy albo się nim było, albo po półtora roku służby strzelało się sobie w łeb. Ale tego dnia był smutny. Co gorsza, opuścił go cały optymizm. Być może przez Amira Ofira, który siedział naprzeciwko niego na pokładzie żagłówki, najbezpieczniejszego miejsca w Tel Awiwie, może nawet w całym Izraelu.

Ofir był szefem Metsady, Wydziału Operacji Specjalnych. Metsada, wraz z podlegającym jej Kidonem, zajmowała się mokrą robotą, zabójstwami, sabotażem, projektami paramilitarnymi i wojną psychologiczną. W przeciwieństwie do dyrektora Ofir miał ciemną cerę i włosy oraz szeroko rozstawione oczy, czarne jak u kruka. Duszę też miał czarną, przynajmniej według Jadina.

– Memune, naprawdę pana nie rozumiem. – Pokręcił głową.
– Kiedy działał, był ciężarem, nawet kulą u nogi. Ale już po nim, już nie podzielał. Wylądował na śmietniku. Meksykanie nie tylko zabili Edena. Oni go także zbeczcęcili. To niedopuszczalne. Muszą za to zapłacić.

– Czyżbyś mnie pouczał, Amir?

– Ależ skąd, oczywiście, że nie – zaprotestował szybko Ofir. – Daję tylko wyraz swemu oburzeniu, oburzeniu całej naszej rodziny.

– Ja też jestem oburzony. I wierz mi, ci zbrodniarze zostaną ukarani.

– Zemścimy się, opracuję...

– Niczego nie opracujesz – przerwał mu szorstko dyrektor.

– Słucham?

– Stoi za nimi Ouyang Jidan. Uruchomiliśmy już szerszy plan.

Ofirowi pociemniała twarz.

– Nic mi pan o tym nie mówił.

– Właśnie powiedziałem – rzucił obojętnie Jadin.

– Jakieś szczegóły?

– Kategoryzowanie.

Ofir zdawał się urażony tym jawnym odtrąceniem.

– Nie ufa mi pan?

– Nie pleć bzdur.

– W takim razie...

Dyrektor spojrzał mu w oczy.

– Częścią tego planu jest Bourne.

Ofir ściągnął usta i pogardliwie prychnął.

Jadin podniósł rękę.

– No dobrze. Widzisz...

– Posłuchaj mnie, Memune. Za Bourne'em podąża śmierć. Najpierw Rebeka, teraz Eden. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wprowadziłeś go do naszej rodziny.

– Wiem, że Eden był ci bliski.

– Eden Mazar był jednym z moich najlepszych ludzi.

– Bardzo ci współczuję, ale Bourne ma dla nas strategiczne znaczenie.

– Bourne się wypalił. Nikomu na nic się nie przyda.

– Jestem innego zdania.

Ofir uniósł brew.

– Nawet gdyby miał pan rację, w co szczerze wątpię, czy to „stragiczne znaczenie” było warte życia Edena Mazara?

– Amir, Amir... Tylko Bóg może to rozsądzić.
– Tak – prychnął Ofir. – Bóg jest wszędzie i nigdzie. Prawda jest taka, że nie ma nic wspólnego z naszą profesją. Gdyby naprawdę istniał, Mosad i Kidon byłyby niepotrzebne.

Niestety, dyrektor dobrze wiedział, o co chodzi Amirowi. Gdy przerażenie chwyciło za serce, powoli wyciskając z niego życie, miał wrażenie, że Bóg opuścił swój wybrany lud. Lecz takie myśli były bardzo destrukcyjne.

– Lepiej nie mieszajmy w to Boga. – Nie zabrzmiało to jak rozkaz, choć rozkazem było. Jak to w Mosadzie. – Mylisz się, przypisując Bourne’owi śmierć Rebeki i Edena. Był jej zwiastunem, ale na pewno nie powodem.

– Nie ochronił Rebeki.

– Rebeka nie potrzebowała ochrony – warknął Jadin. – Kto jak kto, ale ty powinienesz wiedzieć o tym najlepiej.

– A Eden?

Dyrektor wstał. Zmienił się kierunek wiatru i musiał przestawić żagle. Gdy uznał, że wszystko jest jak trzeba, wrócił na miejsce i spojrzał Ofirowi w oczy.

– Amir, boję się, że znaleźliśmy się w sytuacji, która nas przerasta. Potrzebujemy pomocy.

– Mogę zapewnić dosłownie każdą.

Jadin pokręcił głową.

– Chyba nie. Nie tym razem.

– Memune, błagam. Bourne’owi nie można ufać. – Oczy Ofira zrobiły się jeszcze czarniejsze i groźniejsze. – To obcy – podkreślił dobitnie. – Nie należy do rodziny.

Dyrektor pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i złożył ręce jak do modlitwy.

– Mimo to będzie, jak mówię, bo tylko on może nam pomóc.

• • •

Siedząc w cieniu prastarej budowli, Jason patrzył, jak słońce tnie morze na brylantowe kawałki. Wyobraził sobie, że roziskrzony odbłaski są wyskakującymi z wody rybami i chciał każdą z nich dokładnie opisać, lecz przeszkodził mu widok

głowy Edena Mazara szybującej nad altaną i staczającej się na plażę.

Brylantowe kawałki zmieniły się w deszcz krwi i znowu zobaczył szkliste, oskarżycielskie oczy Edena. Szybko zacisnął powieki tylko po to, by zamiast niego ujrzeć Rebekę umierającą na tylnym siedzeniu taksówki.

Wznosił się nad nim łuk starożytnego akweduktu zbudowanego w pierwszym wieku przed naszą erą, za panowania Heroda Wielkiego. Trzysta lat później, gdy Cezarea znacznie się rozrosła, akwedukt wydłużono, by doprowadzał zimną, krystalicznie czystą wodę z oddalonych o dziesięć kilometrów źródeł u stóp góry Karmel. Sąsiadującym z ruinami starego miasta kurortem zarządzała dziś prywatna korporacja.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że na wyspie jego prywatnego cienia pojawiła się jakaś postać, i zdenerwował się jeszcze bardziej, bo nade wszystko chciał być teraz sam. Odwrócił się, by dać wyraz niezadowoleniu, i zobaczył dyrektora Mosadu ubranego jak zwykle w lekki lniany garnitur. Jedyнным ustępstwem, jakie zrobił, idąc na plażę, było to, że włożył wypolerowane na błysk buty ze skórzanej plecionki.

– Trudno było pana znaleźć – powiedział Jadin. – Co pewnie znaczy, że pan tego nie chciał.

Ponieważ Jason nie odpowiedział i znowu spojrział na morze, dyrektor podszedł bliżej i usiadł obok niego.

– Za wcześnie wyszedł pan ze szpitala.

– Kwestia opinii – mruknął Bourne.

– Lekarze uważają, że...

– Znam swoje ciało lepiej niż oni – uciął Jason.

Przez chwilę siedzieli w niezręcznej ciszy. Młode dziewczęta w skąpych bikini, śmiejąc się i wesoło krzycząc, wbiegły do wody, by przerwać zabawę swoim grającym we frisbee chłopcom. Ktoś fotografował akwedukt. Matka prowadziła plażą dwoje dzieci, energicznie wycierając ręcznikiem ich ociekające głowy. W słonym powietrzu unosił się zapach olejku do opalania i świeżego potu.

– Jak ramię?

– W porządku – odparł Bourne. – Po to pan przyszedł? Żeby spytać, jak się czuję? Dzięki, ale nie potrzebuję pomocy.

– Wcale nie zamierzam panu pomagać – powiedział szorstko Jadin. I ciężko westchnął. – Jason, może chce pan zrezygnować...

– Nie chcę. Chcę tu tylko posiedzieć.

– Nic nie robiąc i myśląc tylko o niej.

– Nie pana sprawa, o czym myślę.

– Dzień w dzień na plaży... To do pana niepodobne.

Bourne milczał.

– Cóż, tacy jak my odpoczywają dopiero po śmierci – dodał oschle dyrektor. – Ale nie przyszedłem tu, aby zastanawiać się nad zaletami życia. Przyszedłem powiedzieć, że pańscy wrogowie wciąż pana szukają.

– Śmierć Edena dowodzi, że nie jestem jeszcze gotowy.

– Nikt nie mógł go ocalić, nie przed zdradą Carlosa. Niech pan nie zapomina, że Mazara chronili najlepsi ludzie. Błyskawicznie ich zlikwidowano. Zrobił pan, co było w pańskiej mocy.

– Nieprawda. Dawniej...

– Dawniej to dawniej – przerwał mu Jadin. – Przeszłość to przeszłość. Musimy zająć się teraźniejszością.

Na plażę wyszło dwóch ponurych ochroniarzy dyrektora. Zatrzymali mężczyznę, który robił tam zdjęcia, zawrócili go i odpędzili.

– Szybko pana znalazłem – ciągnął Jadin. – Ouyang Jidan też.

Jason zmrugał oczy w oślepiającym blasku słońca. Czyżby kręcący się na plaży fotograf był Chińczykiem?

Dyrektor wyjął cygaro, lecz nie zapalił go, tylko obracał w palcach jak czarodziejską różdżkę.

– Jason, niech pan nie myśli, że Ouyang nie śledzi sytuacji.

– Na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia i pocieszenia.

– Zawstydił go pan, Ouyang stracił przez pana twarz. Zaatakuje wtedy, kiedy będzie pan najbardziej bezbronny.

Bourne spojrzał na niego i spytał:

– Czy Rebeka o nim wiedziała?

– Co? Nie.

– Kto wiedział oprócz pana?

Jadin westchnął.

– Szef Metsady. Amir Ofir.

– W takim razie dlaczego Ouyang kazał ją zabić?

Dyrektor znieruchomiał. W prawej skroni pulsowała mu żyła.

– Nie Ouyang, tylko Encarnación.

– Nie – odparł Bourne. – Nieprawda.

Rozdział 2

– Dobrze. – Quan, mistrz wushu, niedbałym ruchem rzucił mu *jian*, długi jednoręczny, obosieczny miecz, tradycyjnie używany przez szlachetnie urodzonych i adeptów sztuki. Gdy Ouyang Jidan złapał go wprawnie za rękojeść, mistrz rozkazał: – Styl Białego Węża.

Ouyang zastygł bez ruchu na środku sali. Trzech mężczyzn, z którymi od dwudziestu minut walczył stylem Czerwonego Feniksa, podniosło broń. W przeciwieństwie do Ouyanga używali *dao*, krótkich, jednosiecznych chińskich mieczy bojowych. Wszystkie były zrobione ze stali węglowej, zamiast z drewna. Z drewnianymi mieczami ćwiczebnymi Ouyang pożegnał się już przed laty. W wushu jest dwadzieścia dziewięć stopni wtajemniczenia – on miał piętnasty.

Quan, drobny, niemalże filigranowy mężczyzna, był – jak wszyscy wielcy mistrzowie – człowiekiem starym. Lecz starym tylko pod względem liczby lat. Poruszał się jak trzydziestolatek, podczas gdy jego umysł wypełniała mądrość płynąca z wielu dziesięcioleci ćwiczeń. Miał dwudziesty dziewiąty stopień wtajemniczenia.

– Do ataku! – rzucił do trzech mężczyzn.

Gdy tamci ruszyli, Ouyangowi nie drgnął ani jeden mięsień, był jak oaza spokoju w oku nadciągającego cyklonu. Mężczyźni – wysoki, średniego wzrostu i niski – zaatakowali jednocześnie

techniką chińskiego miecza prostego, długimi, płynnymi ruchami.

Niski nadbiegł pierwszy, zadając cios, który miał rozłupać mu czaszkę. Ouyang odparował uderzenie, nie poruszając nogami ani tułowiem. Śmignęły jedynie ramiona, stal uderzyła w stal, posypały się iskry i zaskoczony napastnik zrezygnował z dalszego ataku w chwili, gdy kolega, ten wysoki, zadał Ouyangowi cios, który miał przebić ciało aż do kręgosłupa. Krótkim ruchem nadgarstka, ani ekstrawaganckim, ani lekceważącym, minister odbił miecz przeciwnika, kierując go w bok.

Ten średniego wzrostu zaatakował zupełnie inaczej. Specjalizował się w technice Świętego Kamienia, tak jak Ouyang. Niemal pięć minut pozostawali naprzeciwko siebie stopa w stopę, poruszając jedynie rękami i bronią, dopóki Ouyang nie podciął go nietypowym kopnięciem.

Mężczyźni cofnęli się i zaatakowali z trzech stron naraz, ten średniego wzrostu przechodząc płynnie na technikę Ognistego Tańca. Przez nieskończenie długą chwilę stal uderzała w stal, sypały się iskry, a salę wypełniała mgła błyskawicznych ciosów. Napastnicy próbowali pokonać Ouyanga wiele razy, a on za każdym razem parował atak, by w końcu z zapierającą dech w piersi wprawą obezwładnić ich i rozbroić.

• • •

– Cóż – powiedział pułkownik Sun, gdy po krótkiej ceremonii Ouyangowi przyznano szesnasty stopień wtajemniczenia. – Nawet ja jestem pod wrażeniem.

Ouyang spojrział na niego, trzymając głównie miecza na bezwłosym przedramieniu.

– Może się spróbujemy?

Pułkownik stłumił śmiech i pokręcił głową.

– Reprezentuje pan starą szkołę, panie ministrze. Nigdy nie uczyłem się technik miecza prostego.

– Pewnie są dla pana zbyt proste. – Ouyang schował miecz

do pochwy z nabożeństwem, którego Sun nigdy by nie zrozumiał. – Ma pan duże braki, pułkowniku.

Sun znowu stłumił śmiech, lecz zrobił to z nutką niepokoju i cichego zawodu. Przystojny, o lekko skośnych oczach i kościach policzkowych jak u Mandżura, miał dopiero trzydzieści lat i jak na tak wysokiej rangi oficera był bardzo młody. Ouyang, jego mentor, ciągnął go za sobą, nadzorując jego szybką karierę wojskową. Sun, inteligentny i dociekliwy jak Ouyang, należał do młodych parweniuzszy, którzy kiedyś – miał nadzieję – zapewnią Państwu Środka światową hegemonię, na jaką Chińczycy tak bardzo zasługiwali.

– Zmieniłem zdanie co do ministrów, którzy podejmują decyzję, siedząc w biurze i przekładając papierki – powiedział pułkownik.

Ouyang uśmiechnął się figlarnie.

– Jestem wyjątkiem – odparł. – Jedyнным wyjątkiem.

• • •

Siedzieli w prywatnej sali jadalnej w hotelu Hyatt na Bundzie, którą zarezerwowano specjalnie dla ministra. Pili kawę ze Starbucksa i jedli amerykańskie śniadanie, ponieważ Ouyang uparł się, żeby w ramach przygotowań do objęcia światowej hegemonii nauczyli się przynajmniej tolerować to jedzenie. Z okien roztaczał się widok na szanghajskie lotnisko Pudong i roziskrzony łuk Bundu, jednej z najsłynniejszych w świecie nadmorskich promenad.

Pułkownik, który miał dość zagranicznej kuchni, odłożył widelec i powiedział:

– W Cezarei zatrzymano jednego z naszych.

Ouyang zmarszczył brwi.

– To niedobrze.

Sun przepełukał usta łykiem wody i kiwnął głową.

– Widziano Jasona Bourne'a – dodał. – Z dyrektorem Jadinem.

– Cholera jasna – mruknął minister – on jest jak karaluch, nie można go zabić! Przekonał się pan o tym na własnej skórze

w rzymskich katakumbach. Próbował pan dwa razy i dwa razy pan zawiódł.

Pułkownik skrzywił się i zmarmotniał.

– Wszyscy zawiedli. Co nie znaczy, że zawiodę po raz trzeci.

Ouyang kiwnął głową.

– Byłoby miło. No i oczywiście dostałby pan kolejny awans. – Wytarł usta. – A teraz proszę mi opowiedzieć o tej meksykańskiej operacji.

– W Las Peñas popełniono błąd – syknął z wściekłością Sun. – Ci Meksykanie! Ci ludzie nie umieją samodzielnie myśleć, nie można im ufać. Chociaż kiedyś działało to na naszą korzyść. – Zawahał się, nie wiedząc, jak ująć w słowa kolejną myśl. – No i jest jeszcze Maricruz.

Ouyang zeszywniał.

– Córka Maceo Encarnacióna jest wyjątkiem od reguły.

– Ale to ona skontaktowała nas z Meksykanami – zauważył pułkownik.

– Co kiedyś działało na naszą korzyść – odparł minister, celowo przedrzeźniając protegowanego.

– Klęska w Dahr el Ahmar, to, że nie udało nam się zdobyć danych technicznych opracowanego przez Izrael procesu wzbogacania uranu światłem laserowym, nie tylko pokrzyżowało nasze afrykańskie plany, ale też dało Cho Xilanowi amunicję, której potrzebuje, żeby uniemożliwić nam wytyczenie nowej drogi dla Chin.

Cho był sekretarzem potężnego ugrupowania partyjnego w Chongqing, głównym rywalem Ouyanga w Komitecie Centralnym. Odłam z Chongqing, zwany również Partią Czystego Nieba, słynął z konserwatywnych poglądów na temat utrzymania obowiązującej od lat polityki izolacjonizmu i nieangażowania się w sprawy Zachodu. Rozłam między frakcją konserwatywną i liberalną został ujawniony, gdy doszło do publicznego potępienia Bo Xilaia, wydalenia go z partii, skazania na dożywotnie więzienie i aresztowania jego żony pod zarzutem zamordowania brytyjskiego biznesmena.

– Niech pan posłucha, pułkowniku – rzekł Ouyang. – Od

chwili, gdy prezydent postanowił zwołać zjazd partii, wszystko się zmieniło. Za dwa tygodnie sfinalizujemy nasze plany i prześlemy władzę młodemu pokoleniu. Chcę być jednym z nowych przywódców. I zrobię wszystko, żeby nie był nim Cho Xilan. Wyniesiono go na stanowisko po procesie Bo Xilaila. Trzeba go pogрузzyć, wplątać w spisek z byłym przywódcą frakcji z Chongqing. Musimy znaleźć jakiś sposób.

Sun zastanawiał się przez chwilę.

– To nie będzie łatwe. Cho ma wielu potężnych przyjaciół.

– A czy kiedykolwiek robiliśmy coś łatwego? – Widelec Ouyanga zawisł w połowie drogi do ust. – Proszę posłuchać. Trudno się było spodziewać, żeby Meksykanie zlikwidowali Bourne'a, człowieka, o którym nic nie wiedzą. Carlos zrobił to, co mu kazano, i w rezultacie Mosad zainkasował kolejny cios. Najpierw ich najsukuteczniejsza agentka Rebeka, a teraz Eden Mazar.

– Cóż, zatem nic dziwnego, że Jadin próbuje dogadać się z Bourne'em.

– Tak, pytanie tylko, dlaczego Bourne go słucha. – Ouyang przeżuł w zadumie kawałek bekonu z jajkiem. – Co robił z Mazarem w Las Peñas? Ochraniał go? Jest samotnikiem, nie lubi pracować dla rządu, nie ufa żadnym agencjom. – Pokręcił głową i spojrział na skrzące się w słońcu szanghajskie wieżowce. – Zmieniło się coś ważnego. Musimy dowiedzieć się co.

Sun zmarszczył czoło.

– Nie bardzo rozumiem...

– Bourne jest nieprzewidywalny, zawsze taki był. Nie możemy dopuścić do tego, żeby on albo Mosad popsuli nam szyki.

– Mosad? Wciąż pana niepokoi? Przecież Rebeka nie żyje.

– Zważywszy na to, co wiemy, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że pod wpływem Jadina Bourne pójdzie w jej ślady.

– Wciąż nie rozumiem...

– Nic więcej nie musi pan wiedzieć, pułkowniku. – Ouyang spojrział w okno. – Niech pan skupi się na Bournie. Od tej

chwili jest pańskim celem.

• • •

Jason wynajął pokój w anonimowym motelu w zapuszczonej dzielnicy Cezarei, z dala od eleganckiego centrum turystycznego, gdzie bawili bogaci. Bielone kamienne ściany motelu były pokancerowane, jakby wciąż żyły przeszłością. Przybytek nie był jednak anonimowy na tyle, żeby wyglądający na turystę mężczyzna z podręczną torbą w ręku nie znalazł go i nie wynajął tam pokoju, płacąc gotówką za jednodobowy pobyt. Kiedy recepcjonista odwrócił się, by sięgnąć po klucz, turysta zerknął na monitor komputera, by sprawdzić, w którym pokoju mieszka Bourne.

Miał zupełnie nijaką twarz, tak że już kilka minut później recepcjonista nie potrafił jej sobie przypomnieć. Tymczasem on wszedł na drugie piętro i stanął przed drzwiami pokoju Jasona Bourne'a.

Postawił torbę, rozpiął ją, wyjął winylową płachtę, potrząsnął nią, a wtedy płachta zmieniła się w kombinezon. Gdy mężczyzna naciągnął go na siebie i zapiął, wydawało się, że jego ciało zniknęło. Potem włożył plastikowe ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się, rejestrując wszystko zimnym okiem klinicysty. Metodycznie przeszukał wszystkie szuflady i półki, zajrzał pod łóżko i za wszystkie obrazy, odkładając każdy przedmiot dokładnie na to samo miejsce i pod tym samym kątem, jak go zastał. Nie znalazłszy nic interesującego, wszedł do łazienki. Pomacał za zbiornikiem toalety, podniósł porcelanową pokrywę i zajrzał do środka. Na umywalce stała szklanka. Trzymając ją za brzeg i denko, rozpylił biały proszek na jej zakrzywionym boku. Na szkle momentalnie pojawiło się kilka odcisków palców. Mężczyzna przyłożył do nich kawałek specjalnej taśmy klejącej, po czym ostrożnie ją oderwał. Przeniesione na folię linie papilarne były doskonale odwzorowane i zabezpieczone.

Chwilę później, cichy jak duch, wyslizgnął się z pokoju.

Zdjął kombinezon i ochraniacze i schował je do torby. Wciąż w rękawiczkach, metalowymi schodami zbiegł na dół, przez nikogo niezauważony wyszedł na ulicę tylnymi drzwiami i zniknął w oślepiającym blasku słońca.